Winiewicz, Józef

[Rola i znaczenie prasy...]

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 17/4, 7-14

1978

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

DZIENNIKARZE O PRASIE POLSKIEJ DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej XVII 4
ISSN 0137-2998

JÓZEF WINIEWICZ

* *
*

Rola i znaczenie prasy codziennej w życiu politycznym i kulturalnym Polski w latach 1918—1939 były bardzo duże. Wypływało to z kilku okoliczności. Przede wszystkim gazety stanowiły dla najszerszych mas główne źródło informacji o tym, co działo się w kraju i w świecie. Czasy zaś były pełne przemian, napięć, niepokojów, wyczekiwań. Społeczeństwo łaknęło wieści. Telewizji w ogóle nie znano, radio zdobywało sobie prawo obywatelstwa dopiero w końcu lat dwudziestych, ale jego zasięg był ograniczony właściwie tylko do wielkich ośrodków miejskich. Poza tym szereg gazet o znacznym jak na owe czasy nakładzie miało wyrobioną wieloletnią tradycję zaufania, zdobytego u czytelników jeszcze w okresie zaborów; służyło wtedy sprawie polskości, towarzyszyło ruchom społeczno-niepodległościowym, broniło polskich interesów przed wyniszczeniem przez obce narodowi elementy. Były i pozostały — swoją gazetą; oczywiście z całym bagażem interesów klasowych, z jakimi związywały się ich wydawnictwa i redakcje.

Działały także czynniki ograniczające zasięg oddziaływania prasy codziennej. Na pierwszym miejscu wymieniłbym ogólne warunki ekonomiczne kraju. Wieś była biedna, nie mówiąc już o jej zacofaniu, m.in. analfabetyzmie. Nieliczne ośrodki przemysłowe cierpiały na skutek dekoniunktury i stale znacznego poziomu bezrobocia. Pracownicy państwowi byli źle uposażeni, niezależnie od tego, czy chodziło na przykład o nauczycielstwo, czy też o urzędników poczty lub kolei. Nie było warunków dla rozwoju masowego czytelnictwa.

Dam przykład dziś niewiarygodny, ale wówczas nagminny. I to z części kraju stosunkowo najlepiej stojącej materialnie — z Wielkopolski. W Wielkopolsce, podobnie jak na całym zachodzie Polski, gazety na ogół abonowało się z dostawą do domu przez roznosicieli poszczególnych wydawnictw, rzadziej przez pocztę. Sprzedaż uliczna była ograniczona. Prenumerata redagowanego przeze mnie „Dziennika Poznańskiego" wynosiła w zasadzie złotych 3,30. Poszczególnym grupom prenumeratorów, między innymi urzędnikom państwowym, dawano jednak tak duże zniżki, że można było prenumerować pismo za niecałe dwa złote miesięcznie. Były

jednak rodziny, które mogły sobie pozwolić na nabywanie pisma tylko wspólnie z dwoma, a nawet trzema innymi sąsiadami z tej samej kamienicy. Liczył się już wydatek kilkudziesięciu groszy; dzielono się wydatkiem na gazetę.

Wydawnictwa działające w ramach kapitalistycznego ustroju, zdane same na siebie w wiązaniu końca z końcem, przy małych nakładach miały tylko ograniczone możliwości technicznego rozwoju. Większości pism nie stać było na modernizację drukarskich urządzeń. Ograniczone były także możliwości rozbudowy sieci informacyjnej poszczególnych redakcji. Tylko nieliczne gazety dysponowały siecią korespondentów zagranicznych, trudno przychodziło rozszerzać nawet ilość krajowych informatorów. Składy redakcji były szczupłe. Jeśli porównamy tamte czasy z dzisiejszymi, gubią się wszelkie porównania. Porównania i wysokości nakładów, i ilości personelu opracowującego treść gazety, i stanu technicznego drukarń poszczególnych wydawnictw. Trudno także porównywać polską prasę okresu międzywojennego z ówczesną prasą europejską — poziom polskiej był niższy.

Niemniej poziom wielu poważniejszych dzienników — niezależnie od reprezentowanych przez nie kierunków politycznych — był wysoki. Związane to było z niewątpliwie rosnącym przygotowaniem zawodowym i intelektualnym młodego dziennikarstwa polskiego oraz z pozycją zajmowaną w redakcjach przez starych, doświadczonych dziennikarzy, jeszcze z okresu najtrudniejszej walki o utrzymanie prasy polskiej, z okresu zaborów.

Dam znane mi dwa przykłady. Wydawnictwo „Dziennika Poznańskiego" wydawało pismo „Rolnik Polski" o ogólnopolskim zasięgu. Wychodziło ono dwa razy w tygodniu, w objętości 16 stron. Zdobyło sobie wielotysięczny nakład i poważanie. Redagował je jednoosobowo działacz ludowy i redaktor Józef Rączkowski przy doraźnej pomocy młodego prawnika, późniejszego posła do Sejmu PRL, Jana Frankowskiego. Źródłem informacyjnym były — nożyczki redakcyjne. Informacja była wszechstronna. Obok fachowej — wiadomości ze wszystkich interesujących wieś dziedzin życia, kraju i świata. Wszystkie dostosowane do percepcji prostego czytelnika. Rączkowski — na przykład — starannie unikał używania mało komu znanych słów obcego pochodzenia, tak dziś zaśmiecających większość naszych czasopism.

„Kurier Poznański", najpoczytniejszy w Wielkopolsce dziennik, miał codziennie kolumnę poświęconą zagadnieniom kulturalnym. Redagował ją w pojedynkę jeden z twórców krakowskiego „Zielonego Balonika", syn kompozytora — Witold Noskowski, pouczający zawsze młodych dziennikarzy żartobliwym wskazaniem, że „lepiej mądrze wyciąć niż głupio napisać". I on operował głównie nożyczkami. Wystarczyło wszakże przeczytać kolumnę, aby być dobrze poinformowanym o tym, co w danej chwili działo się w literaturze, muzyce, plastyce, w teatrze, w czasopis-

mach. O ile „Kurier Poznański" reprezentował przy tym wyraźne poglądy mieszczańskiego Stronnictwa Narodowego, o tyle kolumna Witolda Noskowskiego bliższa była „Wiadomościom Literackim" niż kierunkowi reszty gazety.

Cóż jednak miały robić redakcje, gdzie wydawca obcinał nawet wydatki na abonament innych, a zwłaszcza zagranicznych pism? I z jakim trudem przychodziło utrzymać i redagować gazety lub periodyki o charakterze postępowym czy radykalnym, na które zwalało się całym ciężarem nie tylko ogólne położenie ekonomiczne wyżej wskazane, ale którym przychodziło przebijać się przez nieprzyjazne wszelkiej myśli postępowej warunki życia politycznego ówczesnej Polski. Łącznie z cenzurą i represjami policyjnymi.

Rola cenzury i w ogóle politycznej ingerencji w treść i formę redagowania gazet i czasopism była różna w różnych okresach dwudziestolecia. Z początku ograniczała się do pism wyraźnie lewicowych, zwłaszcza komunistycznych. Po 1926 r. objęła wszystkie bez wyjątku publikacje. Po pierwsze, działała pod wpływem zaostrzających się ustaw i zarządzeń. Po wtóre, rola jej rosła w miarę wzmacniania się aparatu wewnętrznej i policyjnej administracji państwa. Przez cały okres dwudziestolecia cenzura miała represyjny charakter konfiskat i odpowiadania za przewinienia przed sądem. Rzadko stosowano jej formy prewencyjne. Wtedy działał wydział bezpieczeństwa danego województwa lub odpowiedni wydział starostwa czy komisariatu rządu. Często instruowała prasę o tym, co wolno, a czego sobie władze nie życzyły, odpowiednia komórka samego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W latach bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny wzrosły w redakcji naciski Ministerstwa Spraw Zagranicznych powstrzymujące zbyt ostre ataki przeciw III Rzeszy, aby „nie prowokować Niemiec". Wpływano także na ograniczenie ataków prasowych na mniejszość niemiecką, mimo wyraźnej jej antypolskiej mobilizacji i mimo tego, że wypadło bronić się przed niemieckimi kłamliwymi zarzutami, że Niemcy w Polsce — ta najbardziej zamożna mniejszość narodowa — są prześladowani. Zbyt późno zorientowano się, że „powściągliwość" w ocenie niemieckiej polityki do niczego nie prowadzi, przeciwnie — szkodzi.

Represyjna forma konfiskat powodowała oczywiście, że wydawnictwa słabsze obawiając się narażenia na straty materialne nalegały na redakcje, aby unikały wszystkiego, co mogłoby represję powodować. Autocenzura miała — powtarzam: w wydawnictwach słabszych — jeszcze inne źródła niż naciski oficjalne. Część dochodów wydawnictw zależała przecież od wpływów za ogłoszenia. Wiem z doświadczeń własnej redakcji, że wielkie kinoteatry odmawiały umieszczania w piśmie swych — intratnych dla wydawnictwa — ogłoszeń, jeśli sprawozdawcy kinowi gazety zbyt ostro krytykowali wyświetlane filmy. Znam z tych samych doświadczeń przykłady ingerencji władz kościelnych grożących bojkotem

gazety, jeśli pismo nie zaprzestanie umieszczać ogłoszeń o środkach antykoncepcyjnych. Takie same groźby kierowano pod adresem wydawnictwa za nazywanie pastorów protestanckich — księżmi.

I należało liczyć się z takimi formami nacisku, jeśli wydawcom głównie zależało na utrzymaniu dochodowości gazety, a mniej na czysto ideologicznych pryncypiach. Dla redakcji zaś w grę wchodziła m.in. egzystencja zatrudnionych w gazecie dziennikarzy, zagrożonych utratą miejsca pracy. A cóż to znaczyło zrozumie tylko ten, kto pamięta, czym było w ówczesnych warunkach znalezienie się na bruku. Tym wyżej przychodzi cenić ideowość i odwagę ludzi walczących w tamtych czasach o podtrzymanie gazet i publikacji, służących bez zastrzeżeń sprawie postępu społecznego. Było ich niemało. I niemało było tytułów czasopism przeciwstawiających się temu, co już wówczas stopniowo przemijało, chociaż niepostrzeżenie dla większości naszego społeczeństwa.

Zasięg terytorialny dzienników był na ogół regionalny. Stało się to w pewnej mierze w wyniku pozostałości rozdarcia Polski granicami zaborów, gdy prasa zachodu kraju nie docierała ani do byłej kongresówki, ani do Galicji. I odwrotnie. Każde z województw dysponowało kilku tytułami wychodzących pism codziennych. Walka konkurencyjna o utrzymanie wyższego nakładu powodowała rozszerzanie się praktyki drukowania mutacji dla mniejszych ośrodków geograficznych, z szerszym uwzględnieniem wiadomości czysto lokalnych i zdobywaniem w tych warunkach także lokalnych ogłoszeń poprawiających dochodowość pisma.

Mniej precyzyjnie da się dziś zdefiniować zasięg społeczny danej gazety. Większość z nich docierała do różnych warstw. Najwyraźniej, co w rzeczy samej naturalne, da się rozgraniczyć zasięg społeczny gazet wyraźnie przeznaczonych dla wsi. Natomiast czasopisma postępowe i radykalizujące cieszyły się popularnością nie tylko warstwy robotniczej, lecz także inteligenckiej. W zasadzie trudno było w dwudziestoleciu stosować założenie: „powiedz mi, jaką czytasz gazetę, to odgadnę, jakich jesteś zapatrywań".

Inaczej należałoby się wypowiedzieć o kilku wielkich dziennikach o ugruntowanych postawach finansowych, dobrze technicznie wyposażonych, dysponujących rozległym personelem redakcyjnym i licznymi korespondentami zagranicznymi, mających zasięg ogólnopolski. Tutaj zaliczyłbym przede wszystkim koncern „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" z jego innymi jeszcze tytułami — głównie tygodnikami. Pismo było najwyraźniej nastawione na zdobywanie bardzo szerokiego rynku, starając się o sensacyjność wszelkich doniesień i komentarzy, a mniej o zachowanie jakiegoś określonego oblicza ideowego.

Ogólnopolski zasięg miał „Kurier Warszawski", którego wydawnictwo w końcu zeszłego wieku zainstalowało pierwszą w Polsce maszynę rotacyjną i które jedyne w kraju miało dwa wydania dziennie — rano i po południu. Służyło ono wyraźnie sferom posiadającym miast i wsi oraz

prawicowym kołom inteligenckim. Dla świata pracy wychodził socjalistyczny „Robotnik", czytany w całej Polsce i nie tylko dla reprezentowanych poglądów. Czytelnicy zapatrywań chrześcijańsko-demokratycznych nabywali katowicką „Polonię" lub abonowali znacznie od niej starszy „Dziennik Bydgoski". Obu ostatnio wymienionym pismom nie mogła technicznym wyposażeniem dorównać „Gazeta Grudziądzka", ale niewątpliwie dorównywała im ogólnopolskim zasięgiem na wsi, wydając szereg mutacji regionalnych.

Osobną kategorię stanowiła dobrze usytuowana klerykalna prasa katolicka, dysponująca — ze względów, jakich tu wymieniać nie potrzeba — najszerszym i wyjątkowo skutecznym aparatem propagandy i kolportażu. Podobną, chociaż mniej uprzywilejowaną pozycję zajęła „Gazeta Polska" — organ rządzących kół sanacyjnych. Podobną — bo korzystającą z pomocy rozległego aparatu administracji państwowej przyczyniającej się do jej rozpowszechniania, lecz nie tak uprzywilejowaną — bo reprezentującą poglądy mniej popularne w społeczeństwie.

W całej Polsce, chociaż w małych ilościach, rozchodziło się wileńskie „Słowo". Czytano je wyłącznie dla artykułów naczelnego redaktora, Cata-Mackiewicza. Był to niewątpliwy wyjątek poczytności zawdzięczanej wyłącznie jednemu nazwisku, jednemu publicyście. Gazeta niczym więcej się nie wyróżniała. Ani rozległością informacji, ani poziomem technicznym, chyba że ktoś zauważył tam od czasu do czasu inny artykuł tak utalentowanych młodych wówczas autorów, jakimi byli bracia Pruszyńscy, Ksawery i Mieczysław. Dodam, że artykuły publicystów gazet o ogólnopolskim zasięgu znajdowały często echo w prasie zachodnioeuropejskiej. Tym częściej, im bliżej było do wojny, im uważniej przyglądano się Polsce oraz grożącym jej niebezpieczeństwom.

Należy jeszcze dodać, że zwłaszcza pierwsza połowa okresu międzywojennego odznaczała się pojawianiem się różnych prasowych efemeryd — dzienników, które szybko upadły, jednodniówek nastawionych na szybkie zarobienie na ogłoszeniach, wydawnictw sensacyjnych nie mogących zdobyć trwałego zaufania, wreszcie antysemickich szmatławców. Tam właśnie błąkali się po redakcjach dziennikarze nie mogący zdobyć gdzie indziej oparcia i stałej pracy. Stosunek wydawca — redaktor był właśnie tutaj anormalny. Dziennikarza po prostu wyzyskiwano.

Wobec kryzysu gospodarczego często — żeby nie powiedzieć stale — nękającego kraj trudno było dziennikarzom o pracę. Warunki jednak stopniowo normalizowały się. Co ekonomicznie zdrowsze wydawnictwa wychodziły z kłopotów. Poza tym ukonstytuowanie się Związku Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej oraz umacnianie się w skali regionalnej Syndykatów Dziennikarzy spowodowały lepszą obronę spraw bytowych dziennikarstwa. Wobec dziennikarzy zaczęto przestrzegać podstawowych praw pracowników, gwarantowanych przez ustawodawstwo. Z drugiej strony gremia dziennikarskie coraz intensywniej pracowały nad podnie-

sieniem godności dziennikarstwa, jego etyki, jego zawodowej sumienności. W Syndykatach Dziennikarzy stopniowo ginęły podziały ideologiczne, przez długi czas bardzo ostro dzielące członków; stawały się one odtąd coraz bardziej demonstracją zawodowej solidarności. Był to proces rozwijający się coraz intensywniej w miarę upływu lat.

Dopiero jednak w lutym 1938 r. dopracowano się *Układu zbiorowego pracy dziennikarskiej*, zawartego między Polskim Związkiem Wydawców Dzienników i Czasopism a Związkiem Dziennikarzy RP. *Układ* zawarł w sobie wiele postulatów uprzednio doraźnie wysuwanych przez świat dziennikarski. Sprecyzowano przede wszystkim pojęcie dziennikarza jako tego, który „stale i zawodowo trudni się publicystyką, zbieraniem, opracowywaniem lub ocenianiem materiału przeznaczonego do umieszczenia w wydawanym w Polsce dzienniku lub w codziennym biuletynie informacyjnym agencji prasowej, jeżeli praca ta jest wyłączną lub główną podstawą jego zarobku".

Postawiono równocześnie warunki wykonywania zawodu: posiadanie polskiego obywatelstwa, nieskazitelnego charakteru, wykształcenia co najmniej średniego i odbycia trzyletniej aplikacji dziennikarskiej. Wprowadzono rejestr dziennikarzy i aplikantów, dla prowadzenia którego powołano do życia specjalną Komisję Kwalifikacyjną oraz Komisję Odwoławczą. W *Układzie* położono nacisk na przestrzeganie etyki dziennikarskiej, do której zaliczono: „oprócz ogólnych wymagań rzetelności i koleżeńskości zawodowej, stałą troskę o dobro Państwa i interes publiczny, obowiązek dochowania tajemnicy zawodowej, branie odpowiedzialności za swoje prace, nieprzekraczanie granic wolności prasy zakreślonych przez prawo i niepodejmowanie się czynów nie licujących z godnością zawodu".

Układ określał poza tym warunki urlopów dla dziennikarzy (po 20 latach — sześć tygodni, a po 15 — pięć tygodni). Mówił też o zasadach zawierania i rozwiązywania umowy o pracę, ze szczególnymi zasadami zwalniania redaktorów naczelnych oraz wszystkich dziennikarzy w okolicznościach, gdy zmieniał się polityczny kierunek pisma. W dziale „wynagrodzenia" *Układ* zastrzegał, że wynagrodzenie może być płatne tylko w gotówce. Chciano w ten sposób utrącić dość nagminne płacenie uposażeń wekslami, skryptami dłużnymi i innymi „kuponami" tracącymi swą wartość w wypadku niewypłacalności wydawnictwa zatrudniającego dziennikarza.

Natomiast uniknięto określenia wysokości wynagrodzenia przysługującego dziennikarzom, odsyłając to zagadnienie do osobnej „umowy stron" z tym, że pensja „nie powinna być niższa od norm zawartych w układach regionalnych między lokalnymi Syndykatami Dziennikarzy a przedstawicielami Związku Wydawców". W ten sposób jeden z najważniejszych postulatów świata dziennikarskiego — określenie obowiązującego wyna-

grodzenia — zawisł w próżni. A organizacje dziennikarskie walczyły od lat o ustanowienie przynajmniej minimum płacy.

Układ przyczynił się co prawda do podniesienia autorytetu zawodu. Zapobiegał też nagminnemu nadużywaniu tytułu „redaktor" przez ludzi nie mających nic wspólnego z zawodem, np. przez akwizytorów ogłoszeń. Natomiast całości spraw bytowych nie rozwiązał. Silniejszy w negocjacjach okazał się po prostu Związek Wydawców Dzienników i Czasopism jako zrzeszenie pracodawców. Organizacja wydawców miała jednak pewne zasługi w porządkowaniu warunków, jakie oddziaływały także, chociaż nieraz tylko pośrednio, na pracę redakcji. Unormowano — na przykład — cały splot zagadnień kolportażowych oraz ogłoszeniowych. Uregulowano zagadnienie cen papieru. Zwalczano nielojalną konkurencję. Związek Wydawców nie poprawił jednak warunków płacowych dziennikarzy, a w kryzysowym przełomie lat dwudziestych i trzydziestych doprowadził nawet w Warszawie do obniżenia wynagrodzeń pracowników drukarń gazetowych.

Organizatorzy niniejszej ankiety zapytali mnie o charakterystykę środowiska dziennikarskiego. Byłem z nim związany od roku 1925. Powiedziałbym, że w pierwszych latach dwudziestolecia, w okresie nie unormowanych warunków pracy, było ono głównie przytłoczone troskami bytowymi. Z czasem zaczęła się selekcja kadry dziennikarskiej jako normalny proces odpadania elementu słabiej przygotowanego do pracy w redakcjach i przypływu ludzi młodszych, wchodzących w życie dziennikarskie wyraźnie z wyboru, a nie z przypadku, jak było często, bo nie zawsze, w pierwszych latach po pierwszej wojnie światowej. Wzrastał więc poziom, narastało doświadczenie. Walnie pomogły takiemu rozwojowi wykłady przedmiotów prasowych oraz seminaria prasoznawcze w Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie, później w Wyższej Szkole Dziennikarskiej, a także specjalne kursy dziennikarskie w Akademii Handlowej w Poznaniu.

Cementowała się też zawodowa solidarność i życzliwe koleżeństwo mimo tak licznych wówczas podziałów partyjno-politycznych. I mimo nie tylko różnic zapatrywań. Pamiętajmy bowiem, że istniała prasa mniejszości narodowych. Do wspólnych organizacji dziennikarskich należeli także koledzy — Żydzi. Usiłowano ich dyskryminować, próbując tworzyć osobne sekcje żydowskie, lecz w głównym Związku Dziennikarzy RP próby te spaliły na panewce. Nadmienię, że w gronie dziennikarzy żydowskich znajdowało się kilku bardzo wybitnych publicystów, myślę tu głównie o koledze Singerze znanym pod pseudonimem Regnis (odwrócone nazwisko).

Na ogół dobre były też stosunki wewnątrzredakcyjne, zwłaszcza w redakcjach pism o ustabilizowanych warunkach wydawniczych. Oczywiście nie brakowało tarć, zwykłego zjawiska pracy w większych środowiskach. Niemniej należały one do rzadkości, tym bardziej że — jak już powie-

działem — składy większości redakcji nie były duże. W mniejszych redakcjach różnica pozycji: redaktor — wydawca często się zacierała. W wielkich pismach natomiast następowało wyraźne rozgraniczenie zainteresowań i kompetencji, bardziej bliskie roli kontrahentów niż pozycji współpracowników. Ale nie mógłbym wypowiedzieć się co do tego jednoznacznie. Zbyt głębokie różnice znaczyły się między poszczególnymi wydawnictwami. Z własnego doświadczenia dodam tylko, że redaktorowi naczelnemu trudno było godzić obowiązek wobec zbyt nisko uposażonego zespołu redakcyjnego z potrzebą zrozumienia i uwzględnienia sytuacji finansowej całego wydawnictwa.

Scementowanie dziennikarstwa polskiego jako odrębnej grupy zawodowej zdało zresztą walny egzamin z chwilą wybuchu wojny. Pominę jednostki. Resztki różnic poglądów zacierały się. Nastąpiło zbliżenie bardzo ścisłe wobec zbiorowych i indywidualnych niebezpieczeństw grożących na równi wszystkim ze strony napastnika i okupanta; w końcu — wobec celu wygrania tej ciężkiej wojny i zbudowania nowej przyszłości.